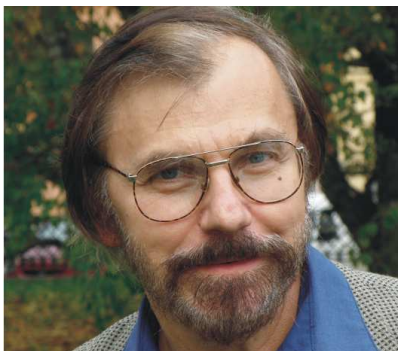


Listy do Pani A. (86)



Życie za jeden uśmiech

Droga Pani!

Pisałem w jednym z listów do Pani, że chciałbym wyprowadzić się z Warszawy; że zaczął mnie męczyć ruch, zgiełk, przestrzenie, środowisko literackie, w którym roi się od dziwnych osobników. Ale jak historia, tak i literatura potrzebuje nawozu. To wszystko rozumiem, ale jednak nie mam już ochoty być oborowym. Tkwić pośród snobów, beztalenci, głupców, intrygantów. Nie chcę generalizować, jest przecież cała grupa świetnych pisarzy, ale zagłuszanych przez nieprzebrane morze chwastów.

Kiedy się nad tym zastanawiałem, doszedłem do wniosku, że miejsca, w których spędziło się niemal całe życie, nie jest tak łatwo opuścić. Przecież to gleba, w którą zapuściło się korzenie, i choćby panoszyły się na niej chwasty, pozostaje bliska. I taka jest dla mnie Warszawa. Ta opisywana przez Prusa, przez Tyrmanda, i ta, którą obserwowałem od dzieciństwa, i widzę ją dzisiaj.

Co Pani o tym sądzi? Bardzo trudno jest od tego wszystkiego odejść, chociaż codzienność staje się uciążliwa, a nawet zaczyna budzić obrzydzenie. Do siebie samego. Zastanawiam się, skąd u mnie takie myśli? Przypomniał mi się w tej chwili taki dowcip. Oto dama lekkich obyczajów przyszła do lekarza i powiada, że ma katar. Lekarz ją bada i mówi: proszę pani, to nie katar. To syfilis. A ona na to: od razu wiedziałam, bo skąd u mnie katar...

Więc skąd u mnie takie myśli? To jakies zmęczenie materiału, psychiczne obezwładnienie, znudzenie... Pewnie się starzeję pomimo całej swojej młodzieńczej krotchwilności. Patrzę na niektórych swoich sąsiadów. Jeszcze kilka lat temu byli to ludzie w pełni sił. Dziś jeden z nich już nie wstaje z łóżka (moje marzenie z lat szkolnych), inny musi używać pampersów, kogoś z trudem prowadzą pod rękę... Myślę sobie, a co będzie ze mną, być może niebawem? Czy mam tkwić tu, gdzie jestem? A może coś w życiu diametralnie zmienić? Tylko po co? Ile upłynie czasu, kiedy i mnie dopadnie taka sytuacja demencyjno-pampersowa? Albo - wieczność, co w ostatecznym rozrachunku nie byłoby takie złe. Czasami nie mam nic przeciwko temu, a

niekiedy wścieka mnie ta iluzoryczność i niesprawiedliwość egzystencji.

To jednak z drugiej strony jest jakoś inspirujące, pobudza refleksje, daje przeżycie poetyckie. Bo poezja, to nie tylko poczucie roztkliwianie się nad kwiatkami, moralizowanie, bezkrytyczna wiara w ideologiczne konwencje, ale właśnie strach, traumatyczne przeżycia, wyciąganie z rzeczywistości niekiedy bardzo daleko idących wniosków. Poezja bierze się z doświadczenia, nie z prostych afirmacji tego, co ogół uważa za słuszne i piękne. Może dlatego jestem tak surowy w ocenach rzewnych wierszyków niektórych romantycznych poetess?

Mając głowę pełną podobnych rozważań pojechałem na plener literacki do Staszowa, organizowany - jak co roku - przez Stanisława Nyczaję i Benedykta Kozieła. Lubię jeździć w te same miejsca, bo one za każdym razem są inne. Tak też z przyjemnością patrzyłem na staszowski ratusz i rynek, chodziłem uliczkami, przesiadywałem w parku otaczającym szkołę, w której kwaterowaliśmy. Ale najciekawsze są spotkania z ludźmi. W tym roku było na plenerze kilka nowych osób, m. in. poetka z Tomaszowa Mazowieckiego Emilia Tesz, czy Kazimierz Ryk z Kielc autor jednego tomu wierszy. Z tym ostatnim dzieliłem pokój. Zaraz po przyjeździe zaczęliśmy integracyjne spotkania w podgrupach. A więc zebraliśmy z Kazimierzem Rykiem, Markiem Rakiem autorem fraszek, aforyzmów i haiku, poetą Romualdem Bielendą, Janem Lechickim także poetą, a z zawodu lekarzem... Niech Pani nie myśli, że zaczęliśmy jakąś morderczą libację. Nic z tych rzeczy. Wino „Kadarka”, whisky z dużą ilością wody mineralnej, a nawet palinka... Najważniejsze jednak były rozmowy, sytuacyjne fraszki, przyjazny humor literacki. I taka atmosfera panowała podczas tego całego literackiego tygodnia.

Miałem promocję „Pamiętki po nieobecności”. Prowadził ją Stanisław Nyczaj. Emilia Tesz odczytała fragment tekstu Anny Marii Musz o tym tomie, a potem ja sam czytałem wiersze. Dyskusja rozgorzała, kiedy odczytałem dwa utwory: „Westerplatte - XXI wiek” oraz „Rocznice” - teksty w których nawiązałem prześmiewczo do mitów historycznych. W pierwszym nawiązałem do wersyfikacji wiersza Gałczyńskiego pisząc o zagładzie świata, w drugim do szaleństwa na punkcie relikwii, nazywając je „przestrzelonymi na wylot gaciami bohaterów”. I rozpełtała się awantura. Szargam świętości, piszę o pijanych bohater-skich żołnierzach, lekceważę powagę i znaczenie walk za ojczyznę, i różne tam takie zarzuty. Żadne moje wyjaśnienia nie odnosiły skutku.

A potem to wszystko zaczęło mnie bawić. Nie jestem pierwszy ani ostatni z piszących, którzy „szargają świętości”. A ja bardzo szargać lubię... Ale spotkanie uważam za nadzwyczaj udane, obyczajnie łagodził muzyką świetny młody pianista Kamil Kondka.

Następnego dnia wieczór literacki miał przebieg czysto liryczny, a więc nie tak kontrowersyjny. Był to poetycki dialog na wiersze, w którym wystąpiła Magdalena Węgrzynowicz - Plichta oraz Benedykt Kozieł. Ich utwory bardzo dobrze się dopełniały. Muzyka w wy-

konaniu Kamila Kondka jak również śpiew młodej wokalistki Wiktorii Pikul potęgowały nastrój.

Ciekawe było spotkanie z prozaikiem Janem Chruślińskim, po którym to spotkaniu także rozgorzała dyskusja, niekoniecznie - jak to u nas bywa - merytoryczna.

Była też wycieczka do Rytwian i Sichowa. Piękny klasztor pokamedulski robi wrażenie. Pustelnia, w której chciałoby się zostać na dłużej. A w Sichowie niemal w sposób fizyczny czułem Pani obecność. I patrząc na to z historycznej perspektywy jest coś na rzeczy...

Potem były Kurozwęki, piękny park i pałac. Jest tam hodowla bizonów, którą dziesięć lat temu założył obecny właściciel, potomek dawniej zamieszkującego tu rodu, pan Popiel, uroczy człowiek, gościnny, pełen kultury. Tę hodowlę chcą mu teraz zlikwidować głupie urzędy, twierdząc wbrew naukowym ekspertom, że to szkodzi polskim żubrom, grozi epidemią albo powstaniem jakichś mutacji, co jest kompletną bzdurą. Nikt logicznie myślący tego nie rozumie. Przecież bizon nie stonka, z zagrodzonego terenu nie wyleci. Powiedzialem to panu Popielowi ku rozweseleniu. Pojeżdżam, że to jakaś sprawa polityczna. Przecież przez dziesięć lat nie pojawiło się żadne zagrożenie. Albo też odzywa się normalna zawiść klasowa. Oto cham chce zniszczyć pana.

Na dziedzińcu pałacowym stoi wypchany bizon. Właściwie jest to pluszowy manekin z doszytą autentyczną głową zwierzęcia. Położyłem się pod tą figurą i poprosiłam, aby Magda Węgrzynowicz-Plichta zrobiła mi zdjęcie. Później znalazło się ono na facebooku z podpisem mojego autorstwa wymyślonym wtedy na poczekaniu: „Niejedna ucieszy się grafomanka, że bizon stratawał Stefanka”. I zaczęliśmy przerzucać się fraszkami. Emilia Tesz powiedziała: „czego nie zdołała ona, dokończył róg bizona”. A ja odpowiedziałem natychmiast: „to Stefana zbawi, co mu się z tyłu wykrwawi”. Żartom i konceptom nie było końca. Napisałem też - po niedużym kielichu - taki limeryk:

*Pewien facet w Staszowie
czuł wielki popęd do owiec
w zastępstwie barana
wołano tego pana
choć był to bezideowiec*

A Staszek Nyczaj podsumował to wszystko fraszką: „To czego nie było i czego nie ma, też można ocalić od zapomnienia”. Ale plener był, przebiegł jak zawsze w kapitalnej atmosferze. Wracalem z żalem do Warszawy.

Tu już czekały na mnie sprawy literackie, ten cały kocioł, od którego chciałbym uciec. Czy muszę uciekać? Nic mnie nigdzie nie trzyma, funkcje pełnione przeze mnie mogą zawsze bez konsekwencji odrzucić. Czym się więc przejmuję? Jestem panem sytuacji. Mogę zatem robić, co chcę, żyć za Pani jeden uśmiech. Pozdrawiam serdecznie -

Stefan Jurkowski